

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ISABEL

Jeszcze przed śmiercią Jacka rodzice mieli w zwyczaju wykręcać nam pewien numer. Czekali, aż zaplanujemy coś, na czym naprawdę nam zależało – umówimy się z przyjaciółmi albo zorganizujemy wypad do kina na premierę filmu, o którym marzyliśmy od miesięcy – po czym porywali nas i zabierali do „Il Pomodoro”.

Ta włoska restauracja znajdowała się półtorej godziny drogi od Mercy Falls, pośrodku pustkowia, co wiele mówiło o miejscu, w którym żyłam, bo Mercy Falls też znajdowało się pośrodku pustkowia. Można by nawet się zastanawiać, po co ktoś miałby jechać z jednego zadupia na drugie. Prawda była taka, że nasz tata, znany przez większość osób jako twardziel patroszący przeciwników na sali sądowej z łatwością welociraptora na haju, zamieniał się w rozkoszne kociątko w otoczeniu Włochów, którzy serwowali mu pieczywo czosnkowe.

W trakcie tego ciężkiego dnia, kiedy marzyłam tylko o tym, by lekcje wreszcie się skończyły, żebym mogła pojechać do domu Becka i zobaczyć, co wymyślili Sam z Cole’em, nie licząc miliona innych rzeczy spoczywających na mojej głowie, powinnam była sobie uświadomić, że to idealne okoliczności do rodzicielskiego porwania. Ale minął już ponad rok, od kiedy ostatnio zrobili coś takiego. Opuściłam gardę i nie byłam przygotowana.

Ledwie wyszłam ze szkoły, kiedy zadzwoniła moja komórka. To był ojciec, więc oczywiście musiałam odebrać, żeby nie ryzykować jego gniewu. Otwierając klapkę telefonu, machnęłam ręką do odjeżdżającej z parkingu Mackenzie. Dziewczyna odmachnęła mi przez ramię, nie oglądając się za siebie.

- Tak, co tam? – rzuciłam, naciskając guzik na breloku od kluczyków, żeby sprawdzić zasięg zdalnego otwierania samochodu.
- Jak skończysz lekcje, wracaj od razu do domu – powiedział mój ojciec. Usłyszałam syk bieżącej wody w tle oraz trzask kasetki z kosmetykami. – Idziemy dziś wieczorem do „Il Pomodoro”. Ruszamy, jak tylko tu dotrzesz.
- Mówisz serio? – zapytałam. – Mam pracę domową do odrobienia i muszę jutro rano wstać. Nie możecie pojechać beze mnie? Będziecie mieć romantyczny wieczór.

Mój ojciec roześmiał się bezlitośnie: „Ha. Ha. Ha”, a potem dodał:

- Spotykamy się większą grupą, Isabel. To takie małe przyjęcie dla uczczenia naszego sukcesu. Wszyscy chcą cię zobaczyć. Minęło już dużo czasu. – Moja mama zamruczała cos w tle. – Twoja matka mówi, że jeśli pojedziesz z nami, zapłaci za wymianę oleju w twoim aucie.

Szarpięciem otworzyłam drzwi SUV-a i skrzywiłam się, bo przy okazji wdepnęłam w kałużę. Wszystko w tym tygodniu było mokre. Z wnętrza samochodu buchnęło ciepłe powietrze: znak, że jednak nadeszła już wiosna, skoro zdołała się nagrzać, stojąc na parkingu.

- Już mi to obiecała za to, że odebrałam jej ostatnio pranie.

Mój ojciec przekazał tę informację matce. Po chwili kontynuował negocjacje:

- Mówi, że zabierze cię do Duluth na jakiś ba... balejaż. Czeka, czy to coś związanego z włosami? Bo nie jestem zwolennikiem...
- Naprawdę nie chcę jechać – przerwałam mu. – Mam plany. – W tym momencie dotarło do mnie, co powiedział wcześniej. – A co w ogóle świętujecie? Chodzi o to polowanie na wilki?
- Cóż, tak, ale przecież nie zamierzamy o tym rozmawiać przez cały wieczór – obiecał ojciec. – Będzie zabawnie. Chcemy...

- Dobrze. W porządku. Pojadę. Powiedz mamie, że bardziej potrzebuję strzyżenia niż farbowania. I nie u tego matoła, którego ona lubi. Przez niego wyglądam staro. Chyba nauczył się fryzjerstwa, oglądając sitcomy z lat dziewięćdziesiątych. – Wsiadłam do samochodu i odpaliłam silnik, starając się nie myśleć o czekającym mnie wieczorze. Robiłam dla Grace i Sama rzeczy, których nie zrobiłabym dla nikogo innego.
- Bardzo się cieszę, Isabel – powiedział mój ojciec.

Ściągnęłam brwi nad kierownicą. Ale uwierzyłam mu.

Za każdym razem, gdy przychodziliśmy do „Il Pomodoro”, zastanawiałam się, jak to miejsce zdołało tak zauroczyć moich rodziców. Byliśmy Kalifornijczykami, na litość boską, którzy powinni się znać na dobrej kuchni. A jednak siedzieliśmy tutaj, przy stole nakrytym obrusem w biało-czerwoną kratkę, słuchając jakiejś marnej śpiewaczki operowej, studiując menu i przegryzając cztery różne gatunki pieczywa, z których żadne nie wyglądało na włoskie – wszystkie prawdopodobnie były rodem z Minnesoty. Sala restauracyjna była ciemna, sufit zawieszony nisko i wyłożony dźwiękochłonnymi płytami. To był włosko-amerykański grobowiec z dodatkiem pesto.

Robiłam, co tylko mogłam, żeby usiąść jak najbliżej ojca, bo było tu z nami piętnaście osób, a ja zgodziłam się dołączyć do nich tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o obławie. Niestety i tak wylądowałam obok kobiety imieniem Dolly, która wepchnęła się między nas. Po mojej drugiej stronie siedział jej syn, który wyglądał, jakby układał sobie włosy, stając tyłem w tunelu aerodynamicznym. Skubałam paluszek chlebowy i starałam się nie stykać łokciami z żadnym z sąsiadów.

Coś przeleciało przez stół i wylądowało dokładnie w zagłębieniu mojego dekoltu, pomiędzy piersiami. Naprzeciwko siedziała kolejna ofiara tunelu aerodynamicznego – może brat – uśmiechając się ironicznie i zerkając porozumiewawczo na chłopaka koło mnie. Dolly nie zareagowała, rozmawiając z moją matką, która siedziała po drugiej stronie ojca.

Pochyliłam się w stronę rzucającego okruszkami.

- Zrób to jeszcze raz – zagroziłam, wystarczająco głośno, żeby przekrzyczeć śpiewaczkę, Dolly, moją matkę i zagłuszyć aromat paluszków chlebowych – a sprzedam twojego pierwotnego szatanowi.

Kiedy się z powrotem wyprostowałam, chłopak siedzący obok mnie zagaił:

- Jest wkurzający, przepraszam.

Wiedziałam, że tak naprawdę pomyślał: „Ale świetny pretekst do rozpoczęcia rozmowy, dzięki, brachu!”. Oczywiście Grace powiedziałaaby, że może po prostu chciał być miły, bo ona była miła dla wszystkich. Ale mój brat zgodziłby się ze mną.

Naprawdę ciężko było nie myśleć o tym, jak byliśmy tu ostatnim razem. Jack siedział przy stole naprzeciwko mnie. Za jego plecami ciągnęły się rzędy butelek wina, tak jak za plecami dzieciaka siedzącego teraz przede mną. Mój brat zachowywał się wtedy jak debil, chociaż starałam się o tym nie pamiętać. Miałam wrażenie, że nie tęskniłabym za nim w odpowiedni sposób, gdybym nie wymazała z pamięci wspomnień o tym, jak bardzo nim czasami pogardzałam. Zamiast tego starałam się pamiętać, jak wyglądał, kiedy się uśmiechał i pracował upačkany przy aucie na podjeździe, chociaż ostatnio coraz częściej wydawało mi się, że pamiętam tylko wspomnienie wspomnienia jego uśmiechu, a nie sam uśmiech. Gdy myślałam o tym za dużo, czułam się tak, jakbym traciła kontakt z rzeczywistością.

Śpiewaczka operowa przerwała występ, który został nagrodzony uprzejmymi brawami i przeniosła się na małą scenę z boku restauracji, gdzie zaczęła rozmawiać z inną osobą w równie gorszym kostiumie. Mój ojciec skorzystał z okazji, żeby zadzwonić łyżeczką o kieliszek.

- Wypijmy za tych z nas, którzy dzisiaj nie piją – oświadczył, wstając. – Za Marshalla, który uwierzył, że nam się uda. I za Jacka, który nie może być tutaj dziś z nami... - przerwał, a potem dodał - ... i który męczyłby nas, żebyśmy też dali mu się napić, gdyby tu był.

Pomyślałam, że to marny toast, nawet jeśli prawdziwy, ale pozwoliłam, by sąsiedzi stuknęli swoimi kieliszkami o mój, wypełniony wodą. Obdarzyłam gnojka z naprzeciwka pogardliwym spojrzeniem i zabrałam swój kieliszek, zanim zdążył się ze mną stuknąć. Wciąż miałam okruchy w staniku.

Marshall siedział na końcu stołu, a jego głos grzmiał z oddali, górując nad wypowiedziami mojego ojca. Miał donośny głos typowego kongresmana. Taki, który brzmiał dobrze zarówno wtedy, gdy wypowiadał zdania typu: „Mniejsze obciążenia podatkowe dla przedstawicieli klasy średniej” i „Dziękuję panu za tę darowiznę”, jak i: „Kochanie, czy mogłabyś mi przynieść ten sweter z kaczuszką?”. Teraz swobodnym tonem zauważył:

- Czy wiedzieliście, że macie tu najbardziej niebezpieczne wilki w Ameryce Północnej? – Uśmiechnął się szeroko i z zadowoleniem, że mógł się z nami podzielić tą informacją. Krawat miał poluźniony. – Zanim wataha z Mercy Falls stała się aktywna, w sumie były tylko dwa potwierdzone ataki wilków w naszym kraju. Na ludzi, oczywiście. Na zachodzie farmerzy stracili trochę bydła, to na pewno właśnie dlatego wystrzelali te dwieście dwadzieścia wilków w Idaho.
- To myśliwi mogli zabić aż tyle? – zapytała Dolly.
- Pewnie, że tak – potwierdził Marshall nieoczekiwanie z akcentem z Minnesoty.
- To chyba dużo – zauważyła kobieta. – My też mamy tutaj tyle wilków?

Mój ojciec wtrącił się gładko do rozmowy. W porównaniu z Marshalllem brzmiał znacznie bardziej elegancko i kulturalnie. Oczywiście wciąż siedzieliśmy w „Il Pomodoro”, więc o jakiej kulturze mogłaby być mowa... Ale jednak przemówił dostojnie:

- Och nie, sfera z Mercy Falls szacowana jest na dwadzieścia do trzydziestu osobników. Najwyżej.

Zastanawiałam się, jak Sam odebrałby tę rozmowę. Zastanawiałam się, co postanowili z Cole’em, o ile w ogóle coś wymyślili. Przypomniałam sobie dziwny, zdecydowany wyraz twarzy Sama w księgarni i natychmiast poczułam się pusta i niekompletna.

- Co zatem sprawia, że nasza sfera jest taka niebezpieczna? – zastanawiała się Dolly, opierając podbródek na splecionych dłoniach. Stosowała sztuczkę, z której sama korzystałam wystarczająco często, żeby ją rozpoznać. Zainteresowanie połączone z ignorancją znakomicie przyciągało uwagę innych.
- Są zbyt spoufalone z ludźmi – odpowiedział mój ojciec. Dał znak jednej z kelnerek, że jesteśmy gotowi złożyć zamówienie. – To, co trzyma wilki z dala od ludzi, to strach, a kiedy się nie boją, są po prostu dużymi miejscowymi drapieżnikami. W przeszłości, w Europie oraz Indiach, wilcze stada słynęły z zabijania ludzi. – W jego głosie nie było śladu emocji, kiedy mówił o zabijaniu. Nie myślał teraz o tym, że wilki zabiły Jacka. Miał cel. Misję. I póki był na niej skupiony, czuł się dobrze.

To był stary dobry tata, potężny i frustrujący, jednocześnie budzący dumę i respekt. Nie widziałam tej wersji jego osoby od czasu śmierci Jacka. Z goryczą uświadomiłam sobie, że gdyby nie groźba wisząca nad Samem, Grace i Cole’em, byłabym szczęśliwa w tym momencie, nawet siedząc w „Il Pomodoro”. Moi rodzice, uśmiechnięci i gawędzący jak za dawnych dobrych czasów. Mogłabym to odzyskać, ale straciłabym wszystkich moich prawdziwych przyjaciół.

- Och, nie, w Kanadzie mają znaczną populację – tłumaczył mój ojciec starszemu mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko niego.

– Tu nie chodzi o liczby – uciął Marshall.

Nikt poza nim nie wtrącił się do tej rozmowy. Nic już nie można było dodać.

Wszyscy podskoczyliśmy, kiedy śpiewaczka znowu zaczęła zawodzić. Zobaczyłam, jak Marshall mówi: „Mój Boże”, choć nie było go słychać przez ten sopran.

W tej samej chwili, gdy poczułam wibracje telefonu, coś załaskotało mnie w szyję. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak głupek po drugiej stronie stołu idiotycznie szczyrzy do mnie zęby po tym, jak wrzucił mi za dekolt kolejny okruszek. Tym razem śpiewaczka produkowała się za głośno, bym mogła zwrócić mu uwagę. I dobrze, bo wszystko, co przychodziło mi do głowy, to wulgaryzmy. Co więcej, za każdym razem, kiedy patrzyłam w jego stronę, myślałam o Jacku siedzącym tu wtedy z nami i o tym, że teraz rozmawiamy o zwierzętach, które go zabiły, a nie o tym, że już nigdy nie będzie jadł z nami w tej restauracji. Drgnęłam, kiedy poczułam kolejne dotknięcie, tym razem we włosach. To był mój sąsiad, z palcami przy mojej skroni.

– Miałaś trochę we włosach! – zawołał, przekrzykując operowy świergot.

Podniosłam dłoń, dając mu znak, żeby przestał.

Mój ojciec pochylał się nad stołem w stronę Marshalla, niemal krzycząc, żeby było go słychać przy muzyce, która brzmiała jak Bizet. Usłyszałam, jak wrzeszczy:

– Z powietrza widać wszystko!

Wyciągnęłam telefon i otworzyłam klapkę. Na widok numeru Sama poczułam, jak żołądek skręca mi się w nerwowy supeł. Przysłała mi wiadomość pełną literówek.

Znalezyłisny ja. Było zlefa ale cole zachowak się jak bohater.

Pomxyslałem ze bedyziesz chciała wiedec. S

Żadnych nazwisk. Sam potrafił być niegłupi, kiedy chciał. Ale trudno było patrzeć na słowa „Cole” i „bohater” w tym samym zdaniu. Ten wyraz sugerował swego rodzaju rycerskość. Próbowałam odpisać pod stołem, z dala od ciekawskich spojrzeń chłopaka obok i Dolly po drugiej stronie, że właśnie jestem w trakcie kolacji i słucham szczegółów na temat polowania, i że zadzwonię później. Albo wpadnę. Kiedy napisałam „wpadnę”, poczułam skurcz żołądka i zapierającą dech w piersiach falę niezrozumiałego poczucia winy.

Wtedy śpiew wreszcie się urwał i wokół mnie rozległy się oklaski – Dolly trzymała ręce przy twarzy i klaskała tuż przy moim uchu – ale mój ojciec i Marshall rozmawiali dalej, pochylając się ku sobie nad stołem.

Głos mojego ojca brzmiał wyraźnie:

- ... wykurzyć je z lasów, jak to zrobiliśmy wcześniej, ale użyć do tego więcej ludzi, z błogosławieństwem stanu, służb leśnych i tak dalej. A kiedy już będą na północ od lasu Boundary, na otwartej przestrzeni, do roboty wezmą się strzelcy wyborowi w helikopterze.
- Mieli dziewięćdziesięcioprocentową skuteczność w Idaho, powiadasz? – upewnił się Marshall, po czym zamarł z widelcem nad przystawką, jakby robił nim notatki.
- Nawet jeśli parę sztuk przeżyje, to nie będzie miało znaczenia – wyjaśnił ojciec. – Bez watahy nie dadzą sobie rady. Potrzeba więcej niż dwóch wilków, żeby upolować większą ilość jedzenia.

Telefon znowu zawibrował mi w dłoniach. Otworzyłam klapkę. Kolejny SMS od Sama.

Myslalenze ona umrze isabel. Czuje taka ulge ze to az bolh.

Usłyszałam, jak chłopak siedzący naprzeciwko mnie się śmieje i wiedziałam, że znowu czymś we mnie rzucił, choć tego nie zauważyłam. Nie chciałam na niego zerkać, żeby nie myśleć o Jacku na tle tej samej ściany.

Nagle poczułam, że będę wymiotować. Nie później, nie prawdopodobnie, ale właśnie tu i teraz. Musiałam natychmiast wyjść, żeby nie narobić sobie wstydu.

Odsunęłam krzesło, popychając przy tym Dolly, która była w połowie kolejnego głupiego pytania. Lawirując pomiędzy stolikami, śpiewaczkami i przystawkami przygotowanymi ze stworzeń morskich złowionych daleko stąd, dotarłam do łazienki – pomieszczenia bez ścianek działowych, urządzonego przytulnie jak w domu – i weszłam do środka. Oparłam się o ścianę, zakrywając usta dłonią. Ale nie zwymiotowałam. Zaczęłam płakać.

Nie powinnam sobie na to pozwolić, wiedząc, że będę musiała wrócić do stołu z opuchniętą twarzą, czerwonym nosem i zaczerwienionymi oczami i wszyscy to zobaczą – ale nie potrafiłam się powstrzymać. Zupełnie jakby łzy mnie dławily. Ledwie oddychałam. Myślałam o Jacku, o tym, jak siedział przy stole, zachowując się jak debil. W głowie słyszałam głos ojca mówiącego o snajperach w helikopterach. Myślałam o Grace, która prawie umarła, a ja nawet bym o tym nie wiedziała, o idiotach wrzucających mi śmieci za dekolt, prawdopodobnie i tak za głęboko wycięty jak na rodzinny obiad; o Cole’u patrzącym na mnie na łóżku; i o tym, co wywołało ten cały napad płaczu – o szczerym, wzruszającym SMS-ie Sama na temat Grace.

Jack odszedł. Mój ojciec zawsze dostawał to, czego chciał. Ja pragnęłam i nienawidziłam Cole’a St. Claira. Nikt, nikt nigdy nie będzie czuł do mnie tego, co czuł Sam do Grace, gdy wysyłał mi tę wiadomość.

Osunęłam się na podłogę łazienki, opierając się plecami o szafkę pod umywalką. Przypomniałam sobie pogardę, która przepelniała mnie, gdy znalazłam Cole’a na podłodze w domu Becka – nie ostatnio, ale wcześniej, kiedy powiedział mi, że musi się wydostać ze swojego ciała albo się zabije. Pomyślałam wtedy, że jest taki słaby, egoistyczny, pobłażliwy wobec samego siebie. Ale teraz to rozumiałam. W tym momencie, gdyby ktoś mi powiedział: „Isabel, mogę sprawić, że to odejdziesz, tylko weź tę pigułkę”, możliwe, że bym ją przyjęła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Zajęte – powiedziałam nie swoim głosem.
- Isabel? – To była moja matka.

Płakałam tak rozpaczliwie, że oddychanie sprawiało mi trudność. Postarałam się opanować głos:

- Zaraz wyjdę.

Gałka się obróciła. Cholera, w pośpiechu zapomniałam zamknąć drzwi.

Moja matka weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Spuściłam wzrok, upokorzona. Widziałam tylko jej stopy, tuż obok moich własnych. Miała na nogach buty, które jej kupiłam. To sprawiło, że znowu zebrało mi się na płacz, a kiedy spróbowałam zdławić szloch, z mojego gardła wyrwał się paskudny dźwięk.

Matka usiadła na podłodze obok mnie, też plecami do umywalki. Pachniała różami, jak ja. Oparła łokcie na kolanach i potarła twarz ręką.

- Powiem im, że się rozchorowałaś – mruknęła.

Schowałam twarz w dłoniach.

- Wypiłam trzy kieliszki wina, więc nie mogę prowadzić. – Wyciągnęła kluczyki i przytrzymała je tak, żebym mogła je zobaczyć przez przerwę między palcami. – Ale ty możesz.
- A co z tatą?
- Tatę podwiezie Marshall. Stanowią dobraną parę.

Wtedy spojrzałam na nią.

- Zobaczą mnie.

Potrząsnęła głową.

- Wyjdziemy drzwiami z tej strony. Nie musimy mijać stolika. Zadzwoń do niego. – Użyła chusteczki z torebki, żeby obetrzeć mi podbródek z łez. – Nienawidzę tej cholernej restauracji.
- Okej – powiedziałam.
- Okej?
- Okej.

Wstała, a ja złapałam ją za rękę. Uśmiechnęła się.

- Nie powinnaś siedzieć na podłodze... jest brudno i można coś złapać. Czemu jesteś cała w okruszkach?

Zdjęłam drobinki z bluzki. Gdy stanęłyśmy obok siebie przed lustrem, obie wyglądałyśmy upiornie podobnie, tyle że moja twarz była rozmazana od łez, a jej nie. Dwanaście miesięcy wcześniej było dokładnie odwrotnie.

- Okej – powiedziałam. – Chodźmy, zanim znowu zaczną śpiewać.